№ 41.

WARSZAWA

12 Października

1862.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.



*„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“* (Ś. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.

**TREŚĆ:** Święty Cypryjan.— O Antonim Bylcu, powieść (dokończenie). — Rozmowy miejskie pana Michała starego żołnierza z panem Janem szewcem warszawskim, o potrzebie nauki w ogólności, a w szczególności dla czeladzi rzemieślniczej, i jak to dobrze urządził u siebie Szymon Tokarzewski majster szewcki.

## Święty Cypryjan.

Roku 260.

—

Cypryjan w Afryce w ciemnościach pogańskich urodzony, gdy się z młodości na nauki pogańskie udał, a w nich nad inne pochop brał większy; za czasem do wysokiej nauki przyszedł, tak, iż wymowny w Kartaginie sławnym mistrzem, i nauczycielem był, i do pierwszej dostojności senatorskiej wyniesiesiony był. Gdzie mając towarzystwo z jednym Chrześcijaninem kapłanem Cecylijuszem, do poznania prawdy, i światłości ewangelij doprowadzony, i chrzest święty przyjąwszy, wielką miłością ku Bogu zapalony został. Na pierwszem tedy swem w szkole chrześcijańskiej cwiczeniu, rozumiał, iż się niczem rychlej milszym i godniejszym Bogu stać nie miał, jeno gdyby czystość chował; bo dopiero mógł serce i zmysły, ku pojęciu zupełnemu prawdy sposobniejsze mieć, gdyby cielesną pożądliwość podeptał. Do czystości wnetże ubóstwo przyłożył, bo poprzedawszy swoję wszystką majętność i rolę, dwie rzeczy dobre uczynił; i pychą świata tego wzgardził, i miłosierdziem, nad wszystkie ofiary od Boga przełożonem, ubogich wiele zapomagał; i tak gorącością wiary na początku, pierwej się doskonałym stał, niżeli się uczyć począł. Wiele było starych w wierze, którym słowa pańskie w uszach brzmiały, a tego nie uczynili, ten zaś siejąc, zaraz żął, i szczepiąc, zaraz z owocu pożytek miał. Nie tylko księgi Pisma świętego, ale i kościelnych doktorow, którzy byli na on czas z chęcią czytał.

Niedługo potém do stanu kapłańskiego wzięty był. Wzgardziwszy raz światem i majętnością, już szkody żadnej w rzeczach świeckich nie czuł. Nie przykre mu było ubóstwo, ani frasunek, ani własnego ciała bolenie. Cnota jego już mając inne fundamenta, na nich mocno stała; i na dobrym korzeniu szczepione nabożeństwo, pokusom djabelskim nie ustąpiło, ale wdzięcznością wiary, i w nieszczęściu sławiło Boga swego. Dobre uczynki jego trudno wyliczyć, same się wyliczyły, gdy na biskupstwo, jeszcze nowincyjuszem będąc, obrany jest.

A gdy za czasów Waleryjana i Galena cesarzów, wielkie na Chrześcian prześladowanie powstało, Paternus starosta przyzwał przed się świętego Cypryjana biskupa, mówiąc: „Cesarzowie do mnie pisali, aby ci, którzy nie są naszego nabożeństwa, gotowi je byli przyjąć; a ty, co powiadasz?“ Cypryjan zaś wyznał się być Chrześcijaninem. Rzecze Paternus: „Tedy w tej woli trwasz?“ Odpowie Cypryjan: „Dobrej woli, która Boga zna, mienić się nie godzi. Rzekł Paternus: „To musisz do miasta Kukurbitany za rozkazaniem cesarzów na wygnanie jechać.“ A święty rzekł: „Pojadę.“ Powie Paternus: Nie tylko o biskupach, ale i o kapłanach to rozkazanie mam; przeto wiedzieć od ciebie chcę, którzy tu są w tem mieście kapłani?“ Odpowie Cypryjan: „Prawem waszem dobrze jest postanowiono, abyśmy obwiniać innych u sądu nie mogli, przetoż ja ich nie wydam.“ Rzekł Paternus: „Zakazano też, aby schadzki wasze nie bywały, a ktoby tego nie zachował, aby ścięty był.“ Cypryjan rzekł: „Czyń, co rozkazano.“

Tedy Cypryjana na wygnanie posłano, na którem żyć nie było mu ciężko dla Chrystusa. Iżali mógł tam być posłany, gdzieby się ten Bóg, dla którego cierpiał, nie nalazł? jeżeli szukasz na wygnanie Chrześcijanowi miejsca, takie najdzij, jeżeli możesz, z któregobyś Chrystusa wygnać mógł. Będąc tedy rok na wygnaniu oném, i wiele złego cierpiąc, męczeńskiego krwi rozlania dla Chrystusa czekał, bo mu Pan Bóg widzeniem to objawić raczył. Roku tego na pomoc wielką kościołowi, na pisanie i rozmyślanie używał; wszakże co godzina czekał, jak rychło po jego głowę poślą. A gdy na miejsce Paternusa Galeryjusz nastąpił, posłał po niego. Tymczasem rozgłosiło się po Kartaginie, iż Cypryjana przywieziono, i zbiegli się Chrześcijanie do onego domu, gdzie biskupa trzymano, a bojąc się, aby się co z nim w nocy nie stało, całą noc u drzwi go strzegąc, trwali wszyscy z żonami i z dziećmi. Nazajutrz wyszedł z onego domu wielkiem wojskiem ludzi wiernych otoczony, tak, jakoby go odbić mieli. A gdy stanął na sądzie, Galeryjusz spytał: „Tyś się papieżem ludziom świętokradzkim czynił?“ Odpowiedział: „Ja.“ Rzekł sędzia: „Kazali ci cesarze bogom ofiarować.“ Odpowie biskup: „Nie uczynię tego.“ Rzekł Galeryjusz: „Rozmyśl się, a radź o sobie: „Cypryjan powiedział: „Uczyń ty, co tobie kazano; u mnie w rzeczy dobrej rozmysłu nie masz,“ i dał na niego wyrok taki: Cypryjanus chcemy, aby mieczem skarany był. Co słysząc święty biskup, rzekł: „*Deo gratias.*“ (Bogu dzięki.) A lud zawołał: „I my niech z nim ścięci będziemy.“ I stał się rozruch, a wszyscy go prowadzili; przywiedziony na rolę Seksty, zdjął szatę z siebie, i poklęknąwszy na ziemi, na modlitwę Panu upadł. A potém zdjąwszy dalmatykę, i podawszy ją dyakonom, stanął w płóciennej komży, czekając kata; i gdy przystąpił, kazał mu dać swym 25 złotych, a bracia słali przed nim prześcieradła i płótna. Potém oczy sobie sam zawiązał, i tak ścięty jest pierwszy w Kartaginie biskup męczennik. Ciało jego z świecami, i innemi obrzędkami Chrześcijanie zacnie, i z tryumfem pochowali, za panowania Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu sława i cześć na wieki wieków. Amen.

---

## O Antonim Bylcu

POWIEŚĆ.

### III.

*(Dokończenie.)*

Nadeszła wiosna! Zuzię ciągnęło coś za mury, gdzie łąki zielone, gdzie drzewa cieniste, gdzie rodzice pomarli, gdzie może jeszcze kto ze swoich żyje. Helenka już na świat otwierała niebieskie oczki swoje, rumiana była i czerstwa, jakby dziecko jakie w dostatkach chowane, Bóg wynagrodzał w dziecięciu opuszczonej kobiecie, za to, ze zaufała Jemu! W tej ufności i wierze, choć nie wiedziała jeszcze, jak dostanie się w tak dalekie strony, gdzie się jej serce rwało, wybierać się przecie zaczęła. Czyste obleczenie narządzone miała dla Helenki, węzełek z rzeczami gotowy, i postanowiła wyruszyć w sam dzień Ŝgo Stanisława. Mleczarka, co przynosiła nabiał dla gospodarza i ceruliczki, mieszkała o milę za Warszawą, na prośbę Zuzi, zgodziła się ją zabrać ze sobą. Raniutko tedy Zuzia wysłuchała Mszy świętej, poleciła się Bogu, i przytuliwszy do siebie dziecinę, jedyny skarb swój na świecie, siadła na wózek, i usadowiła się między blaszankami od mleka.

Im bardziej nikły z oczu, wieże i mury

i dzwonnice miejskie, tém dalej gdzieś w pamięci usuwało się to wszystko co wycierpiała, tem ufniej wierzyła, że przed nią lepsza dola. Ze wsi gdzie mieszkała mleczarka, powiózł ją pachciarz dalej mil parę. Wdawszy się z nią w rozmowę, i dowiedziawszy się, w które udaje się strony, doradził jej, żeby się dostała do najbliższej stacyj, i prosto koleją udała się do Piotrkowa. Najlepiej było taką samą drogą puścić się z Wazszawy, ale przezorna Zuzia, nie chciała odrazu całego swego majątku wydać na kupno biletu. „Nuż myślała sobie, nie znajdę brata, ani nikogo z moich, jakże bez grosza z dzieckiem zostanę?“ Poczciwy pachciarz wyrachował jej, że kupiwszy bilet ze wspomnionej stacyi, jeszcze parę złotych zachować będzie mogła. Usłuchała z wdzięcznością. Do miejsca skąd kolej odchodziła, puściła się pieszo. Trzeba było iść w sam skwar południowy, i z dzieckiem na ręku. Szła Zuzia odważnie i prawie wesoło, nadzieja ją ochładzała, nadzieja ulżywała jej ciężaru. Zdążyła ledwie na kilka minut, przed odejściem pociągu. Nieśmiała, lękliwa z natury, odpychana przez śmielszych, osłaniając dziecko od szturchańców, z trudnością dotłoczyła się do kassy, z trudnością dostała się do wagonu, aż nareszcie, potem oblana, strwożona, bez sił prawie, wcisnęła się w maleńki kącik na twardą ławkę, niczem nie zasłoniona od palących promieni słońca, od kurzu, odetchnęła przecież swobodniej, dowiedziawszy się, że za kilka godzin już stanie w Piotrkowie. Choć i w tej krótkiej drodze biedaczka, nietylko kurzu, ale i wstydu, i łez się nałykała nie mało.

— A gdzie to panienka jedzie? spytał gruby niemiec, co całą drogę niemiłosiernie kurzył paskudny tytuń.

— Patrzcie, jakie delikatne, białe, pewno do swego ojca podobne, wyrwał się ktoś drugi, myśląc, że wielki dowcip powiedział.

— A gdzież ojciec? dorzucił ktoś trzeci.

— Ha, pewnie jedzie szukać go po świecie.

I wszyscy śmieli się serdecznie. Mój Boże!. każdy przecie z tych nielitościwych ludzi miał matkę, niejeden miał żonę albo siostrę, a przecie nie wstydził robić sobie zabawki z łez nieszczęśliwej, nie miał sobie za nic męki serdecznej, co się malowała na twarzy Zuzi.

Nareszcie zdaleka ukazywać się zaczęły czerwone mury Piotrkowa. Nie ten to Piotrków, co dawniej! Dziś niejeden, co przejeżdża tamtędy, i nie wie o tém, jakie to miasto miało świetne czasy. Jak tu się zjeżdżała szlachta obierać królów, jak tu przyjeżdżali królowie sądzić sprawy! Jaki to stary ten kościół farny, przeszło 500 lat temu stawiany. Niejeden dziś już nie wie o tem, że drugi kościół Panny Maryj zbudowała tu królowa Jadwiga Jagiełły żona, i włożyła na proboszczów obowiązek, żeby corocznie po wszystkie czasy odprawiali nabożeństwo za króla Kazimierza Wielkiego, inaczej Królem Chłopków zwanego.

Nie wiedziała też o tém i Zuzia, a dojeżdżając do tej małej mieściny, jaką dziś jest Piotrków, radowała się, że przecie spocznie! O ile sobie z czasów dzieciństwa przypominała, to wieś gdzie się rodziła, o parę już tylko mil odległą być musiała, drogi niepamiętała jednak, i myślała, gdzieby się o nią wypytać. Był to właśnie dzień targowy, na rynku stało jeszcze kilka fur wiejskich, koło nich kręciło się kilku wieśniaków, podając siana koniom przede drogą. A może tam jest który, z tej wsi? może zna jej brata?... Serce jej mocno bić zaczęło... A może już brat nie żyje?..

— Moi gospodarze, wyrzekła, zbliżając się lękliwie, nie wiecie? nie ma tu którego z Ulanowa.

— A to wej Ulanowskie fury!

Kiedy komu w dzieciństwie przyjdzie porzucić swoje strony, miejsca, gdzie mieszkali ojcowie jego, gdzie zaznał, co kochanie i pieszczoty, a potém przyjdzie mu długie lata przeżyć w biedzie, w opuszczeniu, w smutku, to wtedy byle wspomnienie o tych stronach się napotka, byle nazwisko tego miejsca się posłyszy, już człowiekowi serce rośnie od radości, i wszystko, co przebolał za nic mu się wydaje. Na tę furę, na którą jej wskazali, że z Ulanowa przyjechała, Zuzia patrzyła z rozkoszą. Zarżały u niej konie, i w tej chwili jej się przypomniał, koń jeden, którego ojciec przed kuźnią podkuwał, a ona na to patrzała z progu, a matka jej wyniosła mleka w szklance i bułkę. Na furze zostawało trochę natrzęsionego siana, z którego wyglądały główki różowej koniczyny. Zaleciał ją zapach tego siana, i przypomniała jej się łąka, na której matka płótno bieliła, i myślała, że jej serce wyskoczy na te wszystkie wspomnienia.

— Czy to wy gospodarzu z Ulanowa?

— A jużci, odpowiedział wieśniak, spoglądając na nią z pod wysokiej czapki.

— A to widzicie ja stamtąd rodem, zostawiłam tam brata, i nie wiem, czy, aby żyje jeszcze?

— A jakże waszemu bratu było? spytała się kobieta, co zabierała się na wóz gramolić, a nie sporo jej szło jakoś, bo miała po kilka garnków w każdej ręce, a prosiak związany na furze kwiczał niemiłosiernie.

— Memu bıratu było Walenty Mleczak.

— A dyć o nasz kowal! Tylko mu biednemu żona umarła, będzie coś ze trzy niedziele; strasznie markotny, bo sobie rady dać nie może z dzieciakami.

— Dużo ich zostało?

— Dwie dziewczynki, ale to maleństwo, starsze im wymarły.

— O mój Boże! Czy on mnie aby pozna, niewidzieliśmy się już ze 20 lat.

— A wam też mąż pewnie umarł?

— Nic, nie umarł, powiedziała Zuzia z ciężkiem westchnieniem, ale poszedł w świat, nie mogę sobie już żadnej rady dać, i wracam do swoich.

— Patrzcie, jaki to bez sumienia, żonę i dziecko porzucić! A wieleż ma ono? spytała odsłaniając chustki, pod którą dziecina usnęła.

— Ma już na szósty miesiąc.

— Spi kruszyna. A tobyście się może zabrali wej na furze. Szymek słyszysz? Możeby ona wsiadła.

Szymek nieodpowiedział ani tak, ani nie, tylko prosiaka usunął, i położył go w poprzek siedzenia, siana poprawił, a potém odwrócił się, ażeby coś koło koni robić.

— Wsiądźcie no wy wprzód, to wam garnki podam.

Siadła uszczęśliwiona Zuzia na Ulanowskiem sianie, pomogła ustawić garnki, usadowiła się obok niej Szymkowa, nie chcąc popuścić z ręku polewanej miski, i dwóch obwarzanków, co je wiozła dla dzieci. Szymek milcząc jak dotąd, siadł na związanym prosiaku, jak na koźle, i... ruszyli.

IV.

Było to znów w Listopadzie, we dwadzieścia kilka lat po tym dniu łez pełnym, w którym Antoni Bylec, łamiąc małżeńską przysięgę, w świat poszedł. Znów niebo było obwisłe ciężkiemi chmurami, znów wiatr wył przeraźliwie, znów mrok posępny zapadał. O parę mil za Piotrkowem na skraju sporego lasu stała chatka gajowego. Choć pora była jesienna, i okolica posępna, w chacie jasno było i wesoło, bo młoda w niej krzątała się gosposia, a suty ogień palił się na kominie. Tą gosposią była Helenka, od dwóch już lat zamężem uczciwym, rozsądnym, co uszanować ją umiał, szczęśliwe prowadziła życie. Matka kilka jeszcze miesięcy patrzała na jej szczęście, a kiedy umierała zeszłej jesieni z gwałtownej jakiejś gorączki, mówiła, żegnając się z dziećmi, że ostatnie lata przy bracie, i ten czas krótki, co w domu ich przeżyła, wynagrodziły jej wszystko, co wycierpiała przedtem. Umierała też jak prawdziwa chrześcijanka, błogosławiąc tych, co jej robili dobrze, przebaczając, i z serca odpuszczając temu, co zatruł młode jej lata, i takiej ciężkiej dał zakosztować doli. Wesoło tedy było w chacie gajowego. Bóg dał jej córce to szczęście, o którém Zuzia kiedyś dla siebie marzyła. Białe były ściany izdebki, ogień na nich odbijał wesoło, porządne sprzęty, statki chędogie, stały pięknie uszykowane. W czystej pościołce, zdrowe, rumiane trzepotało się dzieciątko, gruchając do matki, i śmiejąc się srebrnym głosikiem. Uśmiechnął się też wesoło od progu, Józef mąż Helenki, choć tylko co w sieni zrucił przemokłą burkę, i przychodził ziębnięty i zmęczony. Wyjął dziecko z kolebki, usiadł z niem na ławie u komina, dziecko skakało mu na kolanach, on mu przyśpiewywał, a przytulał do siebie, a całował. Tymczasem Helenka prosto od ognia na czyste miseczki wytrząsała parujące kartofle, oblewała je sutemi skwarkami, co jeszcze syczały od gorąca w rynce. Postawiła je przed mężem, odebrała mu dziecko, i mówiła z przymileniem: „Jedz Józiu, boś się zmęczył.“ I siadła obok niego. Tylko co pierwsze łyżki do ust zanieść mieli, kiedy usłyszeli jakiś hałas za drzwiami. Naprzód niby lekko ktoś zapukał, potém niby coś ciężkiego powaliło się na ziemię.

Powstał Józef i wybiegł, chciała za nim podążyć i Helenka, bo ją dziwna jakaś trwoga zdjęła, ale dziecko rozpłakało się, i zeszło z pół pacierza, nim je uspokoić mogła. Tymczasem Józef drzwi uchylił. „Szykuj łóżko

prędko, wymówił z cicha, to jakiś podróżny zmarznięty, czy omdlały.“ Rzuciła się Helenka, rozbierać łóżko, a tymczasem Józef, jak dąb silny, wniósł na ręku omdlałego człowieka, i złożył go na posłaniu. Dziwna jakaś żałość przejęła Helenkę, jak spojrzała na tego człowieka! Ubranie na nim było podarte w szmaty, brudna koszula otwierała się na zapadłych piersiach. Twarz była żółta, wychudła, oczy wklęsłe, włosy zgolone z rzadka siwym, odrastały kosmykiem. Poczciwi ludziska trzeźwili go, nacierali, aż wreszcie oczy odemknął, i westchnął ciężko. Józef nic mu mówić nie dał tego wieczora, i nazajutrz, tyle się tylko dowiedzieli, że podróżny ów przeleżał w szpitalu w Piotrkowie blisko dwa miesiące, że słabym się czuł jeszcze, jak go wypisali, że chciał iść do Warszawy, że nogi się pod nim chwiały, że się zabłąkał, że zdążał do ich chaty, gdzie widział światło, i że upadł zemdlony pod progiem. Kilka dni jeszcze całkiem prawie był bezsilny, a chwilami i nieprzytomny. Helenka pielęgnowała go troskliwie, i radowała się serdecznie, kiedy do zdrowia przychodzić zaczął. Jednej soboty, wieczorem podniósł się już z łóżka, usiadł na ławie. Helenka widząc go zdrowszym, i dziecko spokojnem, wybiegła na chwilę pożyczyć dzieży do chleba bo jej własna się rozpadła. Józef jak zwykle poszedł pilnować lasu. Nikogo więc w chacie nie było prócz dziecięcia w kolebce, i starca u komina. Starzec siedział nieruchomy, posępny, zapadłemi oczyma, patrzał na gasnące węgle. W tém dziecię zapłakało. Wstrząsł się podróżny, dziwnym jakimś dreszczem. „Jasiu! Jasiu! nie płacz! szeptał prawie nieprzytomnie. Nie płacz Jasiu!“ powtarzał, zbliżył się do kolebki, spojrzał, i łzy mu strumieniem pociekły po twarzy. I tamten tak płakał! O już nie płacze, już dawno nie płacze! w tem obejrzał się, zobaczył Helenkę stojącą w progu, krzyknął: „Zuzia!“ i zaszlochał w głos cały. Młoda kobieta przybiegła do niego.

— Na miłość Boską! co wam się stało? kto wy jesteście, co moją matkę wołacie? Moja matka już nie żyje! Kto wy jesteście człowieku?

— Ha! to ona twoja matka była! To ona już umarła!..

— A nie mówiła ci twoja matka, że miała męża, co zaparł się Boga, co złamał przysięgę, co odtrącił ją od siebie, kiedy go prosiła o chleb dla konającego dziecka! Czy ona mnie przeklinała, umierając twoja matka! powiedz mi! powiedz. Ja i tak od Boga przeklęty, bom ja jej zabójca!

— Józefie! zawołała Helenka, tuląc się do męża, który wszedł właśnie. Józefie, co on mówi? Ten człowiek od rozumu odchodzi.

Istotnie zdawało się, że starzec od rozumu odszedł, usta mu posiniały, oczy zrobiły się latające i połyskliwe, zachwiał się na nogach, i znowu na dni kilka mocna powaliła go gorączka. Dopiero coś dnia siódmego przesiliło mu się, i zasnął spokojnie. Kiedy się obudził, spokojnemi oczyma, z których ustąpiło obłąkanie, oglądać się zaczął po izbie. Na ławie siedział Józef, i strugał wózek maleńki. Helenka obok dziecko karmiła, usłyszawszy westchnienie chorego, zbliżyła się do łóżka.

— A co lepiej wam dzisiaj.

— O, lepiej, bom już dzisiaj przytomny. Na miłość Boską kobieto, powiedz mi dzisiaj, czyś ty nie córka Zuzanny Bylcowej? Czy twoja matka nie mówiła ci, że ją mąż porzucił? Czyś nie miała brata? Czyś się nieurodziła na barłogu? albo na zmarzniętej ziemi? Na imie Boskie cię zaklinam mów prawdę. Mów? czy mnie przeklinała?

Helenka zasłoniła twarz rękami.

— Moja matka mi mówiła, że była bardzo nieszczęśliwą, ale nie przeklinała nikogo. Zostawiła mi tę oto ślubną obrączkę na pamiątkę, i za ojca modlić się kazała.

Podróżny wziął w rękę obrączkę, przypatrywał jej się długo, i łzy mu puściły się z oczu.

— Tym pierścieniem się z nią zaślubiłem przed 20tu laty! Przysięgałem wtedy, że nie opuszczę aż do śmierci! a opuściłem nieszczęśliwą! Helenko, czy ty przebaczysz twojemu ojcu?

Helenka już klęczała przy łóżku, i całowała rękę ojcowską.

— Bóg was tu przyprowadził, wyrzekła.

— Prawda, Bóg mnie tu przyprowadził, Bóg mi chyba przebaczy, kiedy ona przebaczyła, i umrę spokojniej.

— Jakżeście się dostali w te strony ojcze?

— Moje dziecko! Długoby było opowiadać. Tłukłem się po świecie za zarobkiem, szukałem chleba, szukałem zapomnienia, szukałem

wypocznienia duszy mojej. Chleb się znalazł czasem, czasem się bez niego obejść trzeba było, odpocznienia na chwilę nie dało sumienie. Ślubowałem na odpust iść do Częstochowy, tam mnie przed ołtarzem Matki Najświętszej okrutna żałość ogarnęła. Wyspowiadałem się ze wszystkich grzechów moich. „Moje dziecko, powiedział mi ksiądz, większe miłosierdzie Boskie, niżeli złość ludzka.“ Na to mnie większa jeszcze żałość przejęła, i ryknąłem wielkim płaczem. „Nie dosyć żałować, mówił ksiądz dalej, Bóg wymaga od ciebie, żebyś krzywdy wynagrodził, i życie odmienił.“ Mój ojcze! zawołałem, a serce mi się padało z bólu, a jeżeli ona już nie żyje, jeżeli dzieci pomarły z zimna i z głodu, to jakże krzywdę nagrodzę? „Zrób, co możesz, powiedział ksiądz, a jeżeli już będzie za późno, to może i tak Bóg ci odpuści, dla twojej wielkiej żałości!“ Ulżyło mi się trochę na sercu, ślubowałem Matce Najświętszej poprawę życia, i chciałem dążyć do Warszawy. Ledwiem zaszedł do Piotrkowa do znajomego stolarza, zapadłem w ciężką chorobę, oddali mnie do szpitala, gdziem sześć niedziel przeleżał, ledwiem się mógł na nogach utrzymać, chciałem dążyć do żony, choć mi ciągle coś w sercu mówiło: „Już nie żyję.“ Bóg mnie przyprowadził do waszych drzwi, już teraz niczego nie żądam, tylko pomodlić się na jej grobie, i umrzeć. O, prawdę mówił, on ksiądz w Częstochowie! Wielkie miłosierdzie Boga naszego, kiedy mnie pozwolił jeszcze oglądać dziecko moje, i widzieć je szczęśliwem!

Długo rozważali we troje, wielkie sprawy Boże, Helenka musiała opowiadać wszystko, co słyszała od matki, wszystko co pamiętała sama. Bylec jeszcze na czas jakiś odzyskał siły, jeszcze z wiosny mógł iść na cmentarz, i padł ze łzami na grobie żony, i leżał długo, i płakał gorzko, bo gorzko się płacze na grobie tych, którym się zawiniło. Bóg mu przebaczył pewnie dla wielkiej jego żałości, i umierał spokojnie z tą ufnością; a przed śmiercią mówił nieraz: „Miejcie miłość jedni dla drugich, dochowajcie zaprzysiężonej wiary, wyrządzajcie uczciwość jedni drugim, póki was stać na świecie, bo ciężko nagrodzić krzywdę temu, kogo grób zabierze, ciężko przebłagać zmarłego.

---

## Rozmowy miejskie.

### V.

(*Dalszy ciąg. Patrz numer 40 Czytelni Niedzielnej.*)

—

— Czy wiesz panie Michale, co ja myślę?

— Wiem, że myślicie uczciwie i dobrze, tak oto prawdziwie po naszemu; myślicie o tem najwięcej, jakby, i coby to czynić należało, aby nam dobrze było. Wiem, że tak gorąco dobrego pragniecie, że za prawdę, choćby zaraz, choćby życie, gotowi jesteście poświęcić. Nie lubicie tych ludzi, o których mawiacie, że są złego sposobu myślenia. I ja ich nie mogę cierpieć, a to dla tego najwięcej, że oni zawsze tylko złe mają na myśli. Nic nie robią, wszędzie chodzą, nocy nie sypiają, a tylko na zgubę drugich czyhają. Lubię uczciwych ludzi, co to myślą panie Janie po naszemu, niechwaląc się, a wy tak samo myślicie, za to was szanuję i kocham, bo nie lękam się, iżby mi się co złego z waszej przyczyny stało. Ale o czém teraz naprzykład panie Janie myślicie, i o czém chcecie mówić, to ja nie wiem. Wy panie Janie, to na swej głowie macie zawsze wiele do myślenia i do powiedzenia; więc nie wiem panie Janie: bo ja nie mam daru odgadywania, a tylko wiem, co mi kto powie, lub co przeczytam.

— Tak, tak, choćby zaraz, to prawda, bo tak trzeba. Ale teraz, to ja myślę o tém, że uczonemu pracować lżej jest, i nie ciężko, a więcej korzyści z takiej roboty dla siebie, i dla ogółu zawsze będzie. Ja chwała Bogu mam kawałek chleba, naszemu znajomemu ślusarzowi z Święto-Krzyzkiej ulicy powodzi się nieźle, a i cieśli Tomaszowi nie najgorzej idzie. Dla czego? Dla tego, żeśmy się nauczyli naszych rzemiosł, jesteśmy pracowici i oszczędni. Gdybym ja się więcej był uczył, gdybym był przynajmniej szkoły skończył, toby mi szło jeszcze lepiej. Byłbym się nauczył lepiej myśleć, lepiej porównywać, byłbym rozumiał dla czego jedna skóra lepsza od drugiej, czy można naprzykład złe poprawić, i jak, żeby była dobrą; byłbym się dowiedział, jak to robią podobne rzeczy za granicą. Teraz zaś jestem jak ślepy. Uznaję, że jedna rzecz dobra, ale nie wiem dla czego; uznaję, że inna znowu rzecz zła, i również nie wiem dla czego. Przyszedłem więc do tego zasta-

nowienia, że każdy ojciec najpierwszy ma obowiązek uczyć swoje dzieci, jak można najwięcej.

— Zgadzam się z tobą mój Janie, bo co to znaczy, że kto umie przeczytać i podpisać się: czytanie i pisanie nie jest jeszcze nauką. To tak, jak małe dziecko, gdy się chodzić nauczyło, dobre i to, lepiej że chodzi, niż gdyby było niedołęgą, i chodzić nie umiało. Gdy nie można więcej, dobrze, że się kto choć czytać i pisać nauczył. Ale to nie dosyć. A naprzód, bo zacznijmy już od początku, co najważniejsze. Dla człowieka, który chce być obywatelem swego kraju, potrzeba, aby poznał przedewszystkiem i dobrze jego dzieje, przeszłość tego kraju; potrzeba przecie rozważyć, jak się to dawniej rządzono, i czy dobre było takie urządzenie; czy lepiej było ludziom jak teraz, dla czego lepiej; a jeżeli gorzej, dla czego gorzej; co przyczyną naszej biedy, w jakiej jesteśmy, i jaka na to rada. Boć przecie jak się wprowadzasz do jakiego domu na mieszkanie, to się zaraz dowiadujesz, a czy to nowe mieszkanie nie zimne, czy piec nie dymi, czy nie ma wilgoci, czy bezpieczne podwórze i góra, czy niema złych sąsiadów, i t. d. Jeżeli cię obchodzi dom, w którym masz zamieszkać, to témbardziej i najwięcej obchodzić cię powinien kraj cały i ojczyzna. Bo z domu możesz się wyprowadzić, jak jest bardzo niewygodny, a kraju i ojczyzny opuszczać niegodzi się.

— Wszystko byłoby dobre, co mówicie panie Michale, gdyby na takie nauki wysokie był czas i pieniądze. Trzebaby przynajmniej kilkanaście lat uczyć, żeby się chłopak wszystkich nauk wyuczył, to tylko panowie tak mogą.

— Toć przecie na naukę pieniądze użyte, to nie są wyrzucone pieniądze, mój przyjacielu, to są pieniądze odkładane na procent, i to na dobry procent. Uczony lekarz więcej zarabia jak cerulik, inżynier jak prosty robotnik, budowniczy jak mularz, majster zarabia więcej jak czeladnik, a czeladnik więcej jak chłopiec w nauce. A dla czego? Dlatego. że pobierają procent od większego kapitału. Cerulik łożył pieniądze przez cztery lata na swoją naukę, więc pobiera procent od kapitału składanego przez lat cztery. Lekarz łożył przez lat szesnaście, musi więc pobierać procent przynajmniej cztery razy większy, żeby wyszedł na swoje. Lekarz zatem pobiera nie tylko cztery razy więcej, ale dziesięć razy więcej, niż cerulik. Tak to korzystnie jest uczyć się, ale trzeba się uczyć dobrze, bo jeżeli rodzice nie żałują na naukę, a syn się nie uczy, to się traci kapitał i procent.

— Panie Michale, gdybym ja miał taki kapitał, to jużbym nie żałował na naukę syna, abym go tylko mógł na lekarza pokierować. To na to grosz niestracony, a zdrowie każdemu najmilsze, więc na to nikt mądry nie żałuje. I ja jużbym był dawno ten świat pożegnał, gdyby nie pan Marcin lekarz, a zacny człowiek, i najlepszy mój przyjaciel. Tyle lat i po nocach siedzieć na tym stołku z szydłem i dratwą, to człowiek musiał zdrowia nadszarpać, więc ciągle dzisiaj to, a jutro znowu co innego dokucza. Więc ja nieczekam długo, ale zaraz do lekarza, i co on mi doradzi, ja to święcie spełniam, i jestem zdrów dzięki Bogu, ale nie wszyscy przecież mogą być lekarzami.

— To też oprócz leczenia znajdą się jeszcze inne zajęcia. Potrzeba także wygodne domy budować, mąkę dobrą mleć, użyteczne machiny i narzędzia robić, buty szyć i wiele innych rzeczy; więc też potrzeba oprócz lekarzy, budowniczych, młynarzy, mechaników, szewców, rolników, i t. d. Bóg stwarzając człowieka, oddał mu wszystko, i powiedział do niego: Pracuj w pocie czoła. Cóż to znaczy? Oto to: ogień, powietrze, woda i wszystkie zwierzęta, mają być posłuszne człowiekowi, lecz potrzeba, żeby człowiek pracował, i uczył się, aby tym sposobem umiał tych wszystkich darów mądrze używać na swój własny i ogółu pożytek. Więc wiatr jest posłuszny, i użyteczny, ale potrzeba umieć stawiać wiatraki, lub budować okręta żaglowe. Ogień jest także posłuszny, i wielkie daje korzyści, bo bez ognia nie możnaby chleba upiec, ani innego jedzenia ugotować; w zimie pali się w piecach, i tym sposobem ogrzewają się mieszkania; wieczorem, jak ciemno zapala się świeca, lub lampa, a na ulicach latarnie, i jest widno, jak we dnie; w tych wielkich zakładach Żeglugi parowej hrabiego Andrzeja Zamojskiego, to ja sam byłem, i widziałem, jak w piecu wielkim palą się węgle, gotuje się w kotłach woda, idzie para, a tam po wszystkich izbach kręcą się ogromne koła i małe kółka, uderzają wiel-

kie młoty, kują żelazo, to znowu w inném miejscu piłują, przeżynają, przecinają, swidrują, i zrobią, co tylko potrzeba podług rysunku i wyrachowania. Jest tam pan inżynier uczony, co zawsze coś nowego wyrysuje i wyrachuje, a dopiero nasi chłopcy, jak się zaczną temu przyglądać, rozpatrywać i radzić, tak wszystko, co wyrysowane zrobią. To ja sam widziałem, co to można zrobić przy ogniu, kiedy kto ma naukę.—I woda jest posłuszną, i użyteczną, ale trzeba nmieć naprzykład stawiać młyny, groble, kopać kanały, uspławniać rzeki, i umacniać ich brzegi. Ziemia, to ta jest najposłuszniejszą, ale trzeba umieć ją uprawić, i zasiać, a potém z niej zebrać.—Opowiem ci inną znowu taką historyję. Potrzebny był ludziom wielki kamień na podłożenie pod dom, i poszedł głupi, i znalazł wielki kamień, zaczął mu się przypatrywać, i brać rękoma, kamienia jednak nie mógł poruszyć; poszedł potém mędrszy i zabrał drąg z sobą, podważył drągiem, i przy wielkiej pracy kamień z miejsca poruszył, ale przenieść kamienia nie mógł; nareszcie trzeci jeszcze mędrszy, pojechał na parochodzie, i z maszyną, więc zaczepił kamień łańcuchami, maszyna świsnęła, kamień podniosła, położyła go na parochód, i powiozła, gdzie było potrzeba. Otóż to, co to nauka; ten człowiek na parochodzie nic nie robił, a parochód i maszyna za niego wszystko zrobiły. Więc widzisz do czego przez naukę dojść można, i jakie korzyści nauka przynosi. Kto ma naukę, to na wszystko znajdzie sposób; nie napracuje się tak ciężko, nie namartwi się tyle, ile człowiek ciemny, jakoś wszystko idzie mu szczęśliwie, a i dla ogółu więcej dobrego zrobić może.

— Nie przeczę, że wszelka nauka jest pożyteczną, ale przy nauce trzeba mieć majątek, bo jak się kto choć niewiele poduczy, to już nic nie chce robić, i nie chce być ani kowalem, ani krawcem, ani cieślą, a pragnąłby zaraz pięknie mieszkać, i pięknie się ubierać, i pracy ciężkiej wstydzi się, a książek pisać nie umie.

— To ten tylko tak postępuje, kto jak słusznie powiedziałeś poduczył się trochę, to jest, że niby to uczył się, a nic się nie nauczył. Praca nikogo nie hańbi, ale lepszym czyni, podnosi człowieka godność i uzacnia go. U nas dawniej kmiecie i mieszczanie, czém dochodzili do szlachectwa, jak nie pracą? Wprawdzie nie wszyscy to tak byli szczęśliwi, a i ci szczęśliwi, za nim doszli do szlachectwa musieli także pracować. Pracowali zaś oni tak: naprzód jako chłopcy wysługiwali się, gdzie tylko ich posłano, i robili wszystko, co tylko im kazano. Więc na usługach przy dworze, w stajni, albo też i na polowaniu. Przyszła wojna, to brano i na wojnę, tam także naprzód tylko do usługi. Ale jak się pokazało, kto koni starannie doglądał, kto panu we wszystkiem dogodził; to takiemu pozwolono stanąć w szeregu, i bić się. Kto zaś i w szeregu zachował się dobrze, wytrwał, a nie stchórzył, lecz walczył odważnie i szczęśliwie, taki otrzymywał szlachectwo. Więc była to praca ciężka, krwawa nawet, ale wielki za to przynosiła zaszczyt temu, kto tym sposobem dorabiał się szlachectwa. I nie tym jednym tylko sposobem dochodziło się do godności i znaczenia, bo kto pracował w naukach, wiele się wyuczył, został potém księdzem, nauczycielem, lub urzędnikiem, i tém samem oddawał wiadomości nabyte na usługę współobywateli, ten także zostawał szlachcicem. Każda bowiem praca ma odpowiednią swą wartość. Rolnik nie obejdzie się bez kupca, kupiec bez fabrykanta, fabrykant bez robotnika, i wzajemnie. Więc gdy uprawiam ziemię, aby mi się pszenica rodziła, nie mam się z czego wynosić nad tego, kto młotem żelazo kuje, jak ten znowu nie lepszy, i nie gorszy od tego co nitki przędzie, lub tka sukno. Wszyscy są dobrzy, i jeden bez drugiego nie obejdzie się, bo jeden dla drugiego pracuje.

— To dobrze, że dawniej taką uczciwą pracą i zasługą dochodziło się do godności.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

**Prenumerata** wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15.
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.— Warszawa dnia 11 Października 1862 r.